

JAŚMINOWY
ZAWRÓT
GŁOWY

LENA M. BIELSKA

JAŚMINOWY
ZAWRÓT
GŁOWY

Bliss

Wydawczyni: Olga Gorczyca-Popławska
Redaktorka prowadząca: Olga Gorczyca-Popławska
Redakcja: Jarosław Byczkowski
Korekta: Patrycja Klempas
Projekt okładki i wyklejki: Agata Łuksza
Ilustracje na okładce i wyklejce: Agata Łuksza
Grafiki na stronach rozdziałowych: © Rina Oshi, © trianatio / Stock.Adobe.com
DTP: Maciej Grycz

Copyright © Lena M. Bielska, 2026

Copyright © 2026, Bliss an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2026
ISBN 978-83-8417-498-2

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Bliss

Dla Weroniki i Sandry,

bo Wasza obecność rozpędza
najciemniejsze chmury

OD AUTORKI

Jeśli czytałaś *Zaplątanych* – młodzieżówkę wydaną nakładem Wydawnictwa Young – to najpewniej doskonale wiesz, kim jest główny bohater *Jaśminowego zawrotu głowy*. Jeśli jednak ta książka jest Twoim pierwszym spotkaniem z rodziną Gallagherów, ogromnie zachęcam Cię do sięgnięcia najpierw po *Zaplątanych*. Oczywiście oba tytuły stanowią osobne historie, można czytać je niezależnie, ale w JZG występują spoilery *Zaplątanych*.

Jaśminowy zawrót głowy zawiera motyw **różnicy wieku**, który może być dla niektórych czytelników kontrowersyjny, biorąc pod uwagę kategorię wiekową (16+). Z tego też powodu chciałabym wyjaśnić, dlaczego zdecydowałam się na takie ograniczenie.

Książka, którą trzymasz w ręce, to przede wszystkim **komfortowy romans** i w żadnym stopniu nie jest erotykiem, a sama relacja bohaterów jest zdrowa i bazuje na wzajemnym szacunku. W mojej ocenie kategoria wiekowa nie określa grupy docelowej, do której kieruję książkę, tylko wskazuje zalecaną przez mnie najmłodszą grupę czytelniczą. Innymi słowy: *Jaśminowy zawrót głowy* skierowany jest dla fanów, fanek i osób fanowskich, które mają co najmniej szesnaście lat.

Romans ten nie zawiera wątków, które można uznać za wrażliwe i mogące mieć negatywny wpływ na psychikę czytelnika.

Mam nadzieję, że spędzisz przyjemny czas z Yasmin i Darrenem, a ich relacja otuli Cię niczym miętka chmurka. ♡

Bytom, kwiecień–maj 2025

PROLOG

Yasmin



ROK WCZEŚNIEJ

Fiksuje wzrok na elektronicznej tablicy odliczającej czas i rozgrzewam silnik, który mruczy agresywnie pod maską – ten odgłos sprawia, że się uśmiecham. Mamy z Eriką dobrą passę. Za nami dwa wygrane rajdy, a w pokoju hotelowym leży kontrakt na przyszłoroczny sezon w WRC z zespołem Forda. Pozwalam sobie tylko przez kilka sekund myśleć o tym, jak niewiele mi brakuje, żeby spełnić swoje marzenia, ale gdy na tablicy pojawia się odliczanie... przechodzę w pełny tryb skupienia.

Wyrywam z miejsca w tej samej chwili, w której pojawia się zielone światło. Przed rajdem trzy razy pokonałyśmy tę trasę z moją pilotką i niemal na pamięć znam jej komendy, ale i tak uważnie ich słucham. Erika jest moimi oczami i mózgiem – ja tu tylko kieruję, starając się osiągnąć jak najkrótszy czas przejazdu.

– Sto prostuj.

Tnę, ile fabryka dała, pokonując niewielkie łuki na przestrzał.

– Prawy maks hamuj, lewy cztery pół.

Wchodzę w prawy zakręt na pełnej i wyhamowuję w połowie, wchodząc w lewy na połowie gazu. Dociskam pedał, zmieniam bieg na wyższy i...

– Prawy cztery maks nie ciąć.

Zaciskam mocniej dłonie na kierownicy i pokonuję łatwy zakręt w prawo, pilnując, żeby nie znaleźć się za blisko wewnętrznej krawędzi. O centymetry mijamy głaz leżący na poboczu i wychodzimy na prostą, na której końcu znajduje się wzniesienie.

– Śmiało, lewy maks.

Nigdy nie przyzwyczaję się do nagłej utraty podłoża pod kołami. Nigdy. Mam wrażenie, jakby moja szyja nagle znalazła się blisko lędźwi, żeby po ułamkach sekund wyrwać się w górę. Ledwie opadamy na asfalt, a ja już dociskam stopę do pedału i pokonuję lewy zakręt na pełnym gazie.

– Prawy dwa pół zacisk.

Oddycham głęboko, hamuję, zrzucaam biegi i skręcam kierownicą, żeby wjechać w zakręt na tyle wolno, by nie stracić panowania nad autem. Po obu stronach pojawiają się głazy, które zamykają nas w niemal szczelnym uścisku, ale pokonujemy ten odcinek bez żadnego uszczerbku.

Idzie nam tak dobrze, że chociaż adrenalina ciągle krąży po moim ciele, a serce bije w piersi jak szalone, to równocześnie czuję spokój.

I to mnie gubi.

Mnie albo Erikę.

Nie mam pojęcia.

Wiem jedynie, że kiedy pokonujemy kolejny zakręt, któraś z nas popełnia błąd. Jestem prawie pewna, że mówi „lewy maks wcześniej”, przez co wchodzę w niego po wewnętrznej, ale kiedy tylko to robię, orientuję się, że coś jest nie tak. Ułamek sekundy później wbijamy się w wystający fragment głazu, którego z mojej perspektywy nie sposób było dostrzec. Zgrzyt metalu miesza się

z odgłosem wściekle rozgrzanego silnika i moim chaotycznym oddechem.

Auto staje dęba.

Powietrze zatrzymuje mi się w płucach, gdy lądujemy z powrotem na kołach. Piekący, rozpierający ból przeszywa lewe ramię, sprawiając, że niemal tracę kontakt z rzeczywistością. Do moich uszu docierają krzyki, nie potrafię jednak rozróżnić słów. Erika dotyka mojego ramienia, pyta o coś, chyba przeprasza. Nie wiem, nie jestem pewna. Robi mi się okrutnie gorąco, chociaż na dworze wcale nie jest tak ciepło. Nie rozumiem...

Co się stało?

Dopiero gdy adrenalina wystrzeliwuje w kosmos, sprawiając, że mój mózg wraca do pracy na najwyższych obrotach, dociera do mnie, skąd pochodzi ból trawiący moje ciało. Metalowy pręt niczym włócznia przebił przednią szybę i przygwoździł mnie do fotela kierowcy. Nie mogę ruszyć lewą ręką.

Nie mogę...

Do diabła.

Nie mogę ruszyć ręką.

ROZDZIAŁ 1

Yasmin



NOWY JORK

Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, co mogłabym robić w życiu, gdyby nie udało mi się dostać do WRC. Przyczyna jest prosta – byłam tak skoncentrowana na osiągnięciu sukcesu, że porażka nie wchodziła w grę. Wszelkie przeciwności losu pokonywałam z podniesioną głową, nie pozwalając, aby słowa obcych ludzi jakkolwiek na mnie wpłynęły. Nie obchodziło mnie, że moje marzenia o zostaniu kierowczynią rajdową wydają się komuś śmieszne, żalosne albo niemożliwe do spełnienia. Miałam cel i dążyłam do niego tak zaciekle, jak gdyby zależał od tego sens mojego istnienia. I poniekąd tak było. Od małej zajawki, niewielkiego hobby, które miało być jednym z wielu, rajdy stały się dla mnie całym życiem.

Życiem, które skończyło się rok temu.

Wiem, jak żałośnie to brzmi, ale w tej chwili właśnie tak się czuję – żałośnie. Jakbym straciła ogromną część siebie, niemal sens istnienia.

Trudno, żeby nie, skoro nie usłyszałam dziś od lekarza prowadzącego nic, co mogłoby mnie pocieszyć. Nie jestem naiwna, nigdy nie byłam, i już lecąc do Nowego Jorku na wizytę kontrolną, byłam świadoma, że nie dowiem się nic ponad to, co sama wiem. Czucie w dłoni częściowo wróciło, ale nie jest takie jak przed wypadkiem. Chwyty dalej mam osłabiony, o braku precyzyjnych ruchów palców nawet nie wspomnę. Unoszenie nadgarstka również należy do czynności, których nie potrafię zrobić tak jak drugą ręką. Mimo szybkiej operacji, a potem setek godzin spędzonych na rehabilitacji i ćwiczeniach ręka dalej nie słucha mnie tak, jak bym tego chciała. Nerwy nie zregenerowały się do końca.

Wiedziałam o tym. Wiedziałam, że lekarz mnie nie pocieszy, ale nawet nie przypuszczałam, że spojrzy mi z żalem w oczy i oznajmi, że teraz trzeba już tylko czasu i nadziei, że coś się zmieni. Kiedy zapytałam, jakie mam szanse na powrót do jeżdżenia w rajdach, usłyszałam tylko współczujące westchnienie.

No to pożyłam sobie kierowczynią rajdową... ile?

Cztery lata.

Najwyraźniej wszechświat uznał, że to w zupełności wystarczy, przez co teraz, w wieku dwudziestu ośmiu lat, muszę mocno zrewidować swoje plany na przyszłość.

Cudownie.



Ciągnę za sobą walizkę pokładową, kierując się w stronę terminala, z którego będę odlatywać do San Francisco. Obiecałam mamie, że zajrzę do niej po wizycie u lekarza, chociaż nie mam na to najmniejszej ochoty. Kocham ją, uwielbiam z nią rozmawiać, ale trochę mam już dość jej matczynej troski. Zdaję sobie sprawę, że chce dla mnie jak najlepiej, ale ja po prostu...

Muszę wziąć się w garść i coś ze sobą zrobić. Przede wszystkim znaleźć pracę. Najlepiej związaną z samochodami, żeby nie

oszaleć. Tak długo miałam w głowie wyłącznie rajdy, że czuję się, jakby ktoś wyrwał mi serce. Nie potrafię sobie wyobrazić, że coś innego mogłoby mi dać choć w połowie tyle szczęścia i spokoju co motorsport.

Zatrzymuję się na końcu kolejki i opieram prawą dłoń o rączkę walizki, oddychając głęboko. Ułamek sekundy później marszczę delikatnie czoło, gdy wyczuwam w powietrzu zapach męskich perfum. Pieprzne nuty mieszają się z cytrusowymi, tworząc naprawdę przyjemną woń. Podnoszę wzrok na mężczyznę stojącego przede mną. Starannie ułożone ciemne włosy, jasnoniebieska koszula opinająca się na umięśnionych ramionach i plecach oraz granatowe garniturowe spodnie z brązowym skórzanym paskiem sprawiają, że natychmiast uznaję go za biznesmena. Większość sponsorów, z którymi rozmawiałam przed otrzymaniem propozycji kontraktu na sezon w WRC, ubierała się podobnie.

– Czy oni myślą, że mamy cały dzień? Boarding już się powinien zacząć.

Przewracam oczami, gdy słyszę za sobą pełen pretensji damski głos. Gdyby nie to, że wcześniej wypiałam dwie lampki wina, prawdopodobnie odwróciłabym się i zmierzyła tę kobietę wzrokiem. W moim przypadku alkohol wywołuje jednak raczej senność i wydobywa pokłady cierpliwości oraz... sympatii. Na trzeźwo albo zmęczona zwykle o wiele szybciej się irytuję.

Dlatego teraz nawet nie zerkam przez ramię.

Kilka minut później przestępuję jednak z nogi na nogę i przewracam oczami, słysząc za sobą już chyba setne westchnienie. Bywam całkiem empatyczna i prawdopodobnie zrozumiałabym, że babeczka może się wkurzać, gdyby nie to, że zaledwie minutę temu wyświetliła się na tablicy informacja o opóźnieniu w boardingu. Przecież wszyscy czekamy w tej samej kolejce i większość z nas najpewniej ma już dość, ale tylko ona zachowuje się tak, jakby świat się kończył.

– Ile można...

– Zamknij się wreszcie, babo – warczy jakiś facet, na co ona wzdycha głośno z niedowierzania.

Uśmiecham się, usatysfakcjonowana, że ktoś inny nie wytrzymał. Mnie nie chce się wdawać w dyskusje. No i dalej krążą mi we krwi promile, przez co raczej nie byłabym w stanie wykrzesać z siebie choćby krzty wredności.

– No nareszcie – burczy kobieta, gdy przy stanowisku pojawia się stewardessa i odbiera bilet od pierwszej osoby.

Zaciskam palce na rączce walizki i co jakiś czas robię krok przed siebie, przesuając się bliżej wejścia do rękawa. W końcu nadchodzi cudowny moment, w którym kobieta w granatowej sukience z przypinką Alaska Airlines uśmiecha się do mnie promiennie.

– Dzień dobry – odzywam się pierwsza, podając bilet.

Stewardessa szczytuje kod kreskowy, przytakuje skinieniem i życzy mi przyjemnego lotu. Tuż po tym przechodzę przez bramkę, ciesząc się, że nie włożyłam dziś stanika. Po ostatnim razie, gdy musiałam ściągać go w trakcie kontroli, bo pikałam, stwierdziłam, że nie będę ryzykować.

Boeing jest wyładowany po brzegi nie tylko pasażerami, którzy po prostu próbują zlokalizować swoje miejsce, lecz także tymi niecierpliwymi, niemyślącymi o innych. Zamiast schować się między fotelami, blokują przejście, starając się wepchnąć bagaże do schowków nad głowami. Na domiar złego znowu słyszę za sobą sfrustrowane sapnięcie. Jeszcze mocniej zaciskam pięść na walizce.

Chyba jednak zaczyna brakować mi cierpliwości.

Na szczęście tłum wreszcie się rozrzedza i mogę się ruszyć. Mijam kilka pierwszych rzędów, które tak właściwie są już połową samolotu, i marszczę brwi, gdy w dwudziestym szóstym – tym samym, w którym mam wykupione miejsce – dostrzegam mężczyznę w jasnoniebieskiej koszuli. Jestem pewna, że to on stał przede

mną w kolejce do boardingu – pasażer w fotelu również ma skórzany pasek i pasujące do niego buty. Może się jednak pomyliłam i wcale nie jest biznesmenem, skoro leci klasą ekonomiczną...?

Zatrzymuję się tuż obok niego i zerkam przez ramię, a gdy nie dostrzegam za sobą tłoczących się ludzi, decyduję się czym prędzej schować walizkę i usiąść na swoim miejscu. W momencie, w którym się pochylam, żeby ukryć rączkę, mężczyzna wstaje.

– Pomogę pani – proponuje uprzejmie.

– Och. – Podnoszę głowę i... oddech zamiera mi w płucach.

O kurwa.

Wstrząśnięta otwieram szerzej oczy.

Gapię się na pokrytą delikatnym zarostem szczękę, niczym wyciosaną z kamienia, a potem na karmelowe oczy, ciemne brwi i brązowe włosy mężczyzny, którego doskonale kojarzę. Trudno, żeby było inaczej, skoro to Darren-Pieprzony-Gallagher. Były kierowca wyścigowy, do którego wdychałam jako nastolatka – jeszcze zanim zakochałam się w rajdach.

– Dz-dziękuję – jąkam się zupełnie do mnie niepodobnie i równocześnie jestem wdzięczna genom za to, że łatwo się nie rumienię, inaczej, przysięgam, właśnie spaliłabym buraka.

– Nie ma sprawy. – Uśmiecha się lekko i z równą lekkością podnosi moją walizkę, po czym wsuwa ją do schowka tak płynnie, jakby robił to codziennie.

Czym prędzej, żeby nie przyłapał mnie na gapieniu się, przechodzę pod jego ramieniem i zajmuję miejsce pod oknem, po czym odkładam pod przedni fotel małą torbę, którą do tej pory miałam przewieszoną przez ramię. Jeszcze zanim mężczyzna siada na swoim miejscu, sięgam po pas i sfrustrowana zaciskam szczękę, gdy palce lewej ręki nie chcą ze mną współpracować. Wypuszczam spomiędzy warg długi oddech i przytrzymuję jeden koniec kłanry nadgarstkiem, po czym manewruję prawą dłońią, aż wreszcie... sukces!

Nienawidzę, gdy banalne czynności okazują się tak trudne, jakby to była fizyka kwantowa, ale dziś palce zdecydowanie nie chcą ze mną współpracować.

– A już miałem proponować, że pani pomożę.

Przekręcam głowę w bok i marszczę czoło, na co Gallagher uśmiecha się lekko kącikiem ust i kiwa podbródkiem na mój pas.

– Och. – Chrząkam i wykrzywiam wargi w czymś, co miało być uśmiechem, a przypomina raczej niezadowolony grymas. Nie cierpię tego, jak bardzo mają na mnie wpływ niespodziewane wydarzenia. Zwykle robię wtedy z siebie idiotkę, chociaż wcale tego nie chcę. – Dziękuję... – Gryzę się w język, żeby nie dodać: „panie Gallagher”.

Chryste. Dlaczego nie siedzi w pierwszej klasie? I co jest ze mną nie tak, że reaguję na jego obecność, jakby był cholernym księciem? Okej, dobra, przyznaję, wdychałam do niego jako szesnastolatka, ale bez przesady, żeby nagle zapomniała języka w gębie.

Odwracam wzrok w stronę okna, udając, że wcale nie wyczuwam na sobie spojrzeń karmelowych oczu. Żałuję, że związałam włosy w wysoki kucyk. Gdybym zostawiła je rozpuszczone, mogłabym się za nimi ukryć, chociaż wkurzałoby mnie, że dotykają karku i łaskoczą po twarzy.

Boże, wariuję.

Oszalałam.

Ale czy mnie to dziwi?

Po głębszym przemyśleniu dochodzę do wniosku, że nie powinnam być aż tak zaskoczona. Już nawet pomijając nastoletnie zauroczenie, po prostu zbyt niespodziewanie stanęłam oko w oko z człowiekiem, który mógłby być teraz legendą NASCAR, gdyby nie tragiczny wypadek jego żony i córki przed dwunastoma laty, po którym zakończył karierę i skupił się na wychowaniu syna. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Nigdy nie byłam wielką fanką wyścigów na torze, a jego karierę śledziłam głównie dlatego, że mieszkał – i dalej mieszka – w San Francisco. Pewnie nawet bym go nie rozpoznała, gdybym wtedy do niego nie wzdychała. Jeśli dodać do tego, że moja mama współpracuje z jego fundacją przy organizacji bankietów charytatywnych, to... no właśnie, chcąc nie chcąc, jego twarz jest mi bardziej znajoma niż jakakolwiek inna ze świata „torowego” motorsportu. Wiem, że ma syna – Killiana – który poszedł w jego ślady. Nie pamiętam dokładnie, o ile jest ode mnie młodszy, ale kojarzę, że często wygrywał w zeszłorocznym sezonie Xfinity Series.

Przymykam powieki i oddycham głęboko, próbując uciszyć myśli. Na całe szczęście chwilę później przez głośniki rozbrzmiewa głos stewardessy i chociaż doskonale wiem, co zaraz powie, to i tak skupiam się na jej twarzy, żeby posłuchać. Muszę się skoncentrować na czymś innym niż Gallagher.

Po szybkim kursie: „Co zrobić na wypadek katastrofy” nie mija wiele czasu i samolot zaczyna kołować po płycie. Wreszcie się rozpędza i unosi, a ja jak szalona przetykam ślinę, żeby nie zatkały mi się uszy. Nienawidzę tego uczucia, gdy serce podchodzi mi do gardła. Zbyt mocno przypomina wybijanie się na wzniesieniu w trakcie rajdów. Wbijam paznokcie w udo, zmuszając mózg do skupienia się na ukłuciu bólu, a nie żalu przepływającym przez moje ciało z powodu prawdopodobnie zakończonej kariery.

Kiedy tylko lot zostaje wyrównany i można już rozpiąć pasy, sięgam pod fotel przede mną i zgarniam torbę. Przez chwilę męczę się z jej otwarciem, na szczęście tym razem palce lewej dłoni wreszcie zaczynają mnie słuchać i zaciskają się na materiale wystarczająco mocno, abym mogła rozsunąć zamek. Wyciągam ze środka czytnik i odkładam go na udo. Pech chce, że kiedy wsuwam torbę pod fotel, samolotem wstrząsa na tyle silna turbulencja, że urządzenie ześlizguje mi się z nóg.

Schylamy się z Gallagherem w tej samej chwili, a kolejna turbulencja sprawia, że zderzamy się skroniami. Nikłe ułknięcie bólu to nic w porównaniu z tym, co wypada spomiędzy moich warg:

– Kurwa mać. – Gdyby moja matka usłyszała, że przeklinam, powiesiłaby mnie za uszy. I nie miałyby żadnego znaczenia to, że od dawna jestem dorosła. – Przepraszam – dodaję pośpiesznie i spoglądam skruszona na mężczyznę.

Jestem prawie pewna, że spojrzy na mnie z dezaprobatą, dlatego zaskakuje mnie jego wyluzowany wyraz twarzy.

Oraz uśmiech na ustach.

A także łagodne spojrzenie.

Mózg nastoletniej mnie bez wątpienia zmieniłby się właśnie w papkę.

– Nie szkodzi – odpowiada i wręcza mi czytnik.

Przypadkiem stykamy się palcami. Mam wrażenie, że przeszywa mnie prąd, i na krótki moment robi mi się gorąco – co jest niezaprzeczalnie idiotyczne i zrzucam to na wypity wcześniej alkohol. Przełykam ślinę i uśmiecham się po raz ostatni, po czym szybko opadam plecami na fotel i wbijam wzrok w białe chmury, nad którymi lecimy.

Ciekawe, ile razy w ciągu najbliższych sześciu godzin będę musiała go jeszcze przeprosić.



Pięć.

Pierwszy raz – po godzinie, gdy musiałam pójść do toalety, bo mój pęcherz nie chciał współpracować, a chwilę później drugi, gdy znowu przeprosiłam, żeby dostać się na swoje miejsce.

Trzeci – po kolejnej godzinie, gdy zaczęła mi cierpnąć noga i musiałam wstać, żeby trochę pochodzić.

Czwarty, żeby wrócić.

Piąty natomiast mniej więcej w połowie sześciogodzinnego lotu, gdy ponownie musiałam pójść do toalety.

Wychodzę z kabiny i robię dwa kroki, kiedy samolotem znowu wstrząsają turbulencje. Jezu. Przytrzymuję się prawą ręką jednego z foteli i próbuję nie stracić równowagi, bo tym razem wstrząsy trwają odrobinę dłużej niż wcześniej. Gdy wreszcie się uspokajają, żwawym krokiem ruszam w stronę swojego rzędu. Znajduję się zaledwie dwa kroki od celu, gdy lampka o zapięciu pasów się włącza, a z głośników płynie głos kapitana:

– Przed nami burza. Postaramy się ją ominąć, mimo to proszę, aby wszyscy pasażerowie wrócili na swoje miejsca i zapięli pasy. Może nami trochę trząść.

Ledwie docieram do rzędu, a Gallagher już odpina pas, żeby wstać. Nim jednak zdoła się podnieść, samolotem tak zarzuca, że niewidzialna siła popycha mnie do przodu. Żeby nie stracić równowagi i nie wypieprzyć się na środku przejścia, wchodzę w rząd – na szczęście akurat w naszym siedzimy tylko my.

A może jednak nie na szczęście.

Szósty raz z moich ust pada słowo „przepraszam”, gdy niezbyt efektownie ląduję pośladkami na udach Gallaghera, a on – najpewniej kierowany instynktem – obejmuje mnie w pasie.

Proszę, czy ten lot może się już skończyć?